

Krzysztof Zarewicz

WYMOWA 1863 ROKU

S to lat temu wybuchło Powstanie Styczniowe. Ponad tysiąc potyczek i kilkadziesiąt poważnych bitew, stoczonych przez powstańców w ciągu roku 1863, po wiosnę 1864 r., aż do ostatnich strzałów oddziały ks. Brzóska na Podlasiu w 1865 r.; walka nierówna, prowadzona przez cały czas przez oddziały partyzanckie z przeważającymi siłami armii carskiej, liczącej z początku 100 000, a później 200 000 żołnierzy — te dane obrazują militarną stronę Powstania. Około 20 000 poległych, ponad 6 000 powstańców wziętych do niewoli, fala rozpraw sądowych, kilkadziesiąt egzekucji, około 50 000 zesłanych na Sybir, cofnięcie różnych przedsięwziętych reform w Królestwie — taki był obraz przegranej Powstania.

Ale wymowa Powstania Styczniowego, nauki z niego płynące, były i są o wiele szersze, głębsze.

Dwie linie polityczne

Powstanie przygotowało tajne stronnictwo polityczne „czerwonych” — radykalna inteligencja, studenci, rzemieślnicy, robotnicy, drobni kupcy, część uboższej szlachty i niższego kleru. Przygotowywało je, wiążąc walkę narodowo-wyzwoleńczą z wyzwoleniem społecznym, uwłaszczeniem chłopów, łącząc walkę w Królestwie z antycarskim powstaniem mas chłopskich w Rosji, mając nawiązane kontakty z demokratycznymi organizacjami emigracyjnymi we Francji i w Anglii. Tak pomyślane powstanie, przy ustalonym (w porozumieniu z rosyjskimi demokratami Hercelem i Ogariem) w Londynie oraz z tajną organizacją „Ziemia i Wola” w Petersburgu) terminie wybuchu na wiosnę 1863 r. — miało szanse powodzenia.

Na to, że plany „czerwonych” nie dały spodziewanych wyników złożyło się wiele przyczyn: m. in. konieczność przyspieszenia wybuchu powstania z uwagi na „brankę” do wojska i aresztowania jeszcze przed powstaniem szeregu działaczy łącznie z Jarosławem Dąbrowskim, rozbiście rosyjskich organizacji rewolucyjnych, sabotażowanie przez obszarników dekretu Tymczasowego Rządu Narodowego o uwłaszczeniu chłopów. Jednak przyszłość miała udowodnić, że kierunek polityki „czerwonych” był jedynie słuszny: odzyskanie niepodległości przez Polskę musiało być nierozdzielnie związane ze zwycięstwem rewolucji w Rosji, prawdziwa wolność Ojczyzny była nie do pomyślenia bez wyzwolenia społecznego.

Na przebiegu Powstania Styczniowego fatalnie zaczęła polityka drugiego tajnego stronnictwa politycznego — „białych” — skupiającego obszarników, zamożną burżuazję, część inteligencji. „Biali” chcieli rozwiązać kwestię chłopską zgodnie z własnym interesem, zamieniając pańszczyznę na czynsz i pozostawiając ziemię w swoim ręku, nie chcieli dopuścić do polaczenia walki narodowo-wyzwoleńczej z wyzwoleniem społecznym. Przecistawiali się oni powstaniu zbrojnemu, sądząc, że za pomocą nacisku na cara

uda się rozszerzyć prawa autonomiczne Królestwa Polskiego. Wiele nadziei pokładali w pomocy rządów zachodnich. Gdy powstanie jednak wybuchło, „biali” po przeszło miesięcznym bojkocie, włączyli się do walki — ale z myślą o tym, by przejąć władzę w swoje ręce, stępić socjalne ostrze, nie dopuścić do planowanego przez „czerwonych” pospolitego ruszenia i odciąć powstanie od współpracy z rosyjskimi rewolucjonistami. I to się „białym” w znacznym stopniu udało.

Romuald Traugutt, dzięki któremu Powstanie pod koniec 1863 r. zaczęło znów przybierać charakter demokratyczny — nie mógł już wiele zdziałać. Sprawą uwłaszczenia polskich chłopów „zajął się” sam rząd carski: zagwarantował im ziemię, którą rząd powstanczy uznał za własność chłopów, ale której w większości wypadków obszarnicy nie chcieli oddać. W ten sposób powstanie zostało odcięte od chłopów.

„Pomoc” i pomoc

Pozycję „białych” w rządzie i opinii umocniła w polowie 1863 r. interwencja dyplomatyczna rządów Anglii, Francji i Austrii. Nastąpiła ona w formie wysłania do rządu carskiego not doradzających rozszerzenie autonomii Królestwa Polskiego. „Biali” spodziewali się, że odrzucenie tych not przez Rosję doprowadzi do wojny o Polskę. Car odpowiedział w ostrych słowach... a rządy interweniujące spoczęły na laurach. Karol Marks pisał o tym z oburzeniem: „Burżuazja uważała zawsze za dogodne podburzać Polaków na początku nowego powstania, zdradzać ich z pomocą swej dyplomacji w toku powstania i rzucić na pastwę losu, gdy Rosja ich pokonała”.

Tej gorzkiej nauki polska burżuazja w późniejszych czasach nie chciała pamiętać.

Realna pomoc dla Powstania Styczniowego szła skądinąd. Narody całej niemal Europy ustosunkowały się do powstania, do sprawy wolności Polski z ogromną sympatią. Marks, Hercelem, Hugo, Kossuth, Garibaldi, Mazzini ogłaszali płomiennie odezwy o pomoc dla Polski. We wszystkich prawie krajach odbywały się demonstracje i wiece popierające sprawę polską. Ze wszystkich stron przybywali ochotnicy. Obok Polaków, przekradających się z zaboru pruskiego i austriackiego, do walki o wolność Polski, stanęli cudzoziemcy: liczna grupa Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, Włosi, Francuzi, Węgrzy, ochotnicy z Czech, Niemcy, nawet Szwedzi.

Tak jak Polacy walczyli i ginęli w 1848 r. na barykadach rewolucji w Austrii i na Węgrzech, we Włoszech i Francji, tak w 1863 r. walczyli i ginęli za sprawę Polski patrioci krajów Europy. I tak też, gdy Powstanie Styczniowe upadło, polscy powstańcy — emigranci polityczni — znaleźli się w szeregach bojowników o zjednoczenie Włoch w 1866 r., na barykadach Komuny Paryskiej w roku 1871, wśród obrońców Francji przeciw Prusakom. I Polacy też znaleźli się w szeregach I Międzynarodówki, powstałej w 1864 r. z inicjatywy Marksa i Engelsa. Tej Międzynarodówki, punktem wyjścia dla której stały się wspólne wystąpienia robotników angielskich i francuskich właśnie na rzecz Powstania Styczniowego, w obronie wolności Polski.

W życiu narodu polskiego rozpoczął się nowy etap: zakończył się w zasadzie proces likwidacji ustroju feudalno — pańszczyźnianego, kraj wszedł w stadium kapitalizmu. Na czoło walki coraz bardziej wysuwać się będzie nowa klasa — proletariatus. Sprawa polska na arenie międzynarodowej coraz ściślej będzie się oddziaływać z ruchem robotniczym. Ruchem, którego konsolidację w I Międzynarodówce przyspieszyło właśnie Powstanie Styczniowe.

Nauka wobec uprzemysłowienia Wielkopolski

W cyklu pod powyższym tytułem publikujemy kolejny artykuł pióra profesora UAM i WSE dr. Floriana Barcińskiego oraz kierownika zespołu w Pracowni Planów Regionalnych WKPC dr. Bohdana Gruchmana. Na artykuł składają się wyjątki referatu przygotowanego na sesję naukową PTPN i Prezydium WRN, która odbyła się w połowie grudnia ub. roku. Kolejny artykuł z tego cyklu — w przyszłą niedzielę.

Przebudowa struktury gospodarczej Poznańskiego

Prof. dr Florian Barciński, dr Bohdan Gruchman

Kiedy w styczniu 1945 roku władze Polski Ludowej objęły w administrację województwo poznańskie, zastały w nim zasadniczo te same zręby struktury gospodarczej, branżowej i przestrzennej, jakie się w nim ukształtowały w II połowie XIX wieku. Jej podstawę stanowiło wysoko-towarowe, intensywne rolnictwo z przewagą wielkiej własności prywatnej i gospodarstw pełnorolnych oraz wszechstronnie rozwinięty i równomiernie w całym województwie rozmieszczony przemysł rolno-spożywczy.

Oczywiście Poznań już wtedy był nieco bardziej rozwiniętym ośrodkiem przemysłowym, jednakże z wyraźną przewagą przemysłu spożywczego i przemysłów pracujących na potrzeby rolnictwa.

W XX-leciu międzywojennym, po odrodzeniu się Państwa Polskiego, ten układ strukturalny i przestrzenny pozostał zasadniczo niezmieniony. Natomiast radykalnie zmieniły się warunki jego funkcjonowania. W czysto rolniczym Państwie Polskim XX-lecie, o bardzo ograniczonych możliwościach inwestycyjnych, technicznych i rynkowych i w na ogół niekorzystnej dla Wielkopolski polityce gospodarczej, ten układ nie mógł funkcjonować dobrze. Wkrótce w podstawowych gałęziach stracił charakter dynamiczny, a nawet cofnął się znacznie. Na skutek spadku rentowności rolnictwo popadło w permanentny kryzys, obniżyło intensyfikację i wydajność z hektara, co fatalnie odbiło się na sytuacji przemysłów pracujących na jego potrzeby. W latach 1928—1937 wydajność 4 zbóż obniżyła się w stosunku do wydajności z lat 1909—1913 o 2,9 q, ziemniaków o 9 q, a buraków cukrowych o 60 q.

Przemysł rolno-spożywczy, na skutek utraty rynków zbytu, skurczył swoją produkcję przeciętnie do połowy dawniejszych rozmiarów, co jeszcze bardziej osłabiło pozycję rolnictwa, a z nim razem podcięło byt małych miast, tak bardzo związanych z rolnictwem i tak bardzo typowych dla Wielkopolski.

Tak więc władze Polski Ludowej zastały w Wielkopolsce niewiele w ciągu 70 lat, zmienioną, patologicznie jednostronną strukturę gospodarczą, która w żadnym przypadku nie mogła zapewnić korzystnych perspektyw rozwojowych na przyszłość.

Władze polityczne i państwowe, od początku dążyły do zrealizowania w

Wielkopolsce takich samych założeń programowych w dziedzinie gospodarczej, jak w całym kraju, a mianowicie do: gruntownej przebudowy struktury agrarnej, jak najdalej posuniętej industrializacji województwa, poprawy proporcji w układzie poszczególnych gałęzi przemysłu oraz do wyrównywania dysproporcji gospodarczych w terytorialnym układzie produkcji i usług, zwłaszcza między powiatami wschodnimi i resztą województwa. Jednakże wobec konieczności jak najszybszego odbudowania zniszczeń wojennych w przemyśle, rolnictwie, transporcie, budownictwie i innych dziedzinach, nie można było natychmiast przystąpić do realizacji tych założeń.

Nie ulega wątpliwości, że należało je rozpocząć od przywrócenia rolnictwu i przemysłowi spożywczemu ich wysokiej rangi ogniw wodzącego. Niestety, właśnie te dwie podstawowe gałęzie naszej gospodarki zostały w latach planu 6-letniego poważnie zahamowane w rozwoju.

Równocześnie w planie 6-letnim inwestycje w całym przemyśle województwa poznańskiego i Poznania stanowiły zaledwie 3,1 proc. ogólnokrajowych. Ogólnie niekorzystną dla woj. poznańskiego politykę inwestycyjną w zakresie przemysłu pogłębiał w tym czasie fakt skoncentrowania większości inwestycji w Poznaniu i w kilku innych ośrodkach oraz w takich gałęziach przemysłu, które nie odpowiadały najbardziej żywotnym i najpilniejszym potrzebom województwa.

Ocena wyników Planu 6-letniego z punktu widzenia industrializacji, jako podstawowego elementu przebudowy struktury gospodarczej naszego województwa, wypada niekorzystnie. Jeżeli bowiem wyliczymy Poznań i Ostrów, a także Kalisz i Piłę, które w tym czasie dokonały w procesie uprzemysłowienia znacznego postępu, to spośród wszystkich powiatów województwa jedynie powiat koniński zapoczątkował na większą skalę proces przebudowy.

W strukturze branżowej przemysłu woj. poznańskiego zupełnie wyjątkowe stanowisko zajmuje przemysł spożywczy, na który jeszcze w 1965 roku przypadało 60,5 proc. wartości produkcji globalnej przemysłu całego województwa. Dopiero w bardzo dużej odległości za nimi siedzi przemysł maszynowy i metalowo-przetwórczy z udziałem w wysokości 11 proc., a dalej przemysł drzewny i papierniczy — 7,3 proc., wio-

Dokończenie na str. 2

Wielkopolska przez długie lata była jeszcze producentem produktów rolnych dla całego kraju. Pozostanie nim, mimo iż na zbożo-nabiałowo-mięsny rynek coraz bardziej się liczą województwa opolskie, wrocławskie, bydgoskie...

Prawda, że Poznańskie uczyniło spory krok na drodze przekształcania swej struktury z rolniczej na rolniczo-przemysłową; dość daleko wszakże Ziemi Nadwarciańskiej do miana regionu przemysłowo-rolniczego. Skoro produkcja rolna jeszcze przez czas dłuższy mieć będzie w Wielkopolsce czoiowe znaczenie — wyłania się istotna kwestia: czy możliwe jest zachowanie przodującej roli województwa w tej dziedzinie? Czy też utrata wielkopolskiego prymatu w produkcji rolnej staje się sprawą przesądzoną?

Teoretycznie rzecz biorąc, poznańscy rolnicy dawno powinni zostać zdystansowani przez chłopów Lubelszczyzny i innych rejonów Polski, gospodarujących na lepszych glebach, dysponujących nieraz lepszymi warunkami dla rozwoju hodowli. Ale... Na razie niewiele jest danych po temu, by uznać, że Wielkopolska wyraźnie traci swój prymat w towarowości produkcji rolnej, a to przede wszystkim się liczy. Jednak trzeba zdawać sobie sprawę z faktu zagrożenia przodownictwa Wielkopolski. Co więcej, rolnictwo naszego województwa, by nie dać się zdystansować, powinno dalej kroczyć drogą unowocześniania. Osiągnięto na tej drodze postępy, ale — niezadowalające.

Piotr Życki

Prymat zagrożony?

Jakie należałoby poczynić kolejne kroki? O tym mówiono na niedawnym Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Na ten temat wypowiedział się, w trakcie wspomnianego posiedzenia plenarnego, minister rolnictwa — Mieczysław Jagielski.

Wiele jeszcze mamy możliwości zwiększenia produkcji roślinnej i zwierzęcej. Za pierwszoplanowe jednak zadanie uważa się sprawę szybkiego rozszerzenia arealu uprawy pszenicy. Można ją siać w Poznańskim, zgodnie z danymi gleboznawczymi, w każdym powiecie; nawet na stosunkowo ubogich glebach międzychodzkich uzyskane plony pszenicy (naturalnie przy odpowiednim nawożeniu) są naprawdę zachęcające. A przecież nie brak w województwie przykładów zbierania 50 i więcej kwintali pszenicy z hektara.

Bezpośredni wpływ na urodzaje ma stosowanie doborowego, kwalifikowanego ziarna. Ministerstwo rolnictwa sugeruje, iż województwa zachodnio-północne stać na wymienianie ziarna siewnego w tzw. rotacji trzyletniej; w Poznańskim działacze rolni opracowali realny plan rotacji dwuletniej, co powinno, co musi przynieść dodatnie wyniki w postaci zwiększonych plonów.

W Polsce spasa się rocznie 10 milionów ton zboża. Niemal w tym udział ma inwentarz, w który obfitują wielkopolskie gospodarstwa rolne: prywatne, spółdzielcze, państwowe. Roczny niedobór województwa wynosi w tym zakresie około 100 000 ton zboża. Aby go zmniejszyć, a z biegiem czasu wręcz zlikwidować, władze miejscowe opracowały program rozwoju produkcji pasz. Niezależnie od

większonej produkcji roślin pastewnych i rozwijania produkcji susej — duże nadzieje wiąże się z wynikami prac badawczych, prowadzonych pod kierownictwem prof. dr. Józefa Janickiego na poznańskim WSR. Niektóre propozycje naukowców, w wypadku wdrożenia ich do praktyki, powinny zmniejszyć nasz niedobór paszowy. W sumie — wojewódzki plan zwiększenia produkcji pasz, ma realne szanse na dofinansowanie przez Ministerstwo Rolnictwa, jak oświadczył M. Jagielski. A to oznacza znów krok naprzód. Gdyby tak jeszcze zbiory ziemniaków w udało się podnieść w Poznańskim choć o 20 q z hektara...

...Wówczas zyskalibyśmy dodat-

Szanse wielkopolskiego rolnictwa

kowo — uwaga! — 500 000 ton paszy rocznie. A przecież jest to zadanie w pełni wykonalne, zważywszy, że średnie urodzaje ziemniaków wyniosły u nas ostatnio 150 q/ha, produkując natomiast wyniki przekraczające 300. Czy osiągniemy ową 20-kwintalową wyższkę? Powinniśmy! Jako pierwsi w kraju prowadzimy tzw. rejonny zamknięty produkt ziemniaka, skąd czerpiemy wysokiej jakości sadzeniaki. Oto więc jeszcze jeden atut w naszej walce o utrzymanie prymatu w produkcji rolnej.

Mamy tych atutów w zanadto zresztą sporo. Wybieram spośród nich tylko jeden jeszcze: PGR-y. Nie jest tajemnicą, iż z biegiem lat państwowy sektor rolny nie tylko umocnił się gospodarczo i organizacyjnie, lecz ponadto rozszerzył stan swego posiadania o tysiące hektarów przejmowanych niemal w każdym powiecie gruntów. Średnio w Polsce PGR-y gospodarzą na ośmiu procentach użytków rolnych; w Poznańskim (dane z WZ PGR) na jedenastu, nie brak jednak rejonów, gdzie odsetek ten jest wyższy. W dużym powiecie gnieźnieńskim wynosi on 16 proc., przy czym wiele przemawia za tym, iż procent ów już w bieżącym roku wzrośnie.

Planuje się przejmowanie przez PGR-y wszystkich gruntów Państwowego Funduszu Ziemi, niedostatecznie zagospodarowanych; w wypadku potrzeby ich scalenia — geodecy w pierwszej kolejności mają zająć się tym właśnie zadaniem. Ponieważ Minister Rolnictwa zapo-

wiedział pomoc finansową, pomoc w sprzęcie mechanicznym i inna, proporcjonalnie do wielkości przejmowanej przez PGR-y ziemi — mamy prawo oczekiwać dodatnich efektów rozszerzania państwowego sektora rolnego, w postaci wzrastającej produkcji roślinnej i zwierzęcej. Przecież to wielkopolskie PGR-y przodują w kraju.

Pośród innych zamierzeń, należałoby wymienić jeszcze projekt objęcia państwowym systemem szkolenia kierowniczej kadry z PGR i spółdzielni produkcyjnych, a także agronomów gromadzkich; przygotowywany projekt ustawy, mocą której zapewniono by zwiększone zainteresowanie rolników postępowymi metodami melioracyjnymi i stanem wybudowanych urządzeń. Zamierzenia te, właśnie dla Poznańskiego, mają duże znaczenie; ich realizacja także powinna tutaj szemu rolnictwu dopomóc intensyfikować produkcję, zwłaszcza, że zakres robót melioracyjnych władze ministerialne gotowe są rozszerzyć, pod warunkiem zapewnienia przez wieś poznańską odpowiedniej ilości rak do pracy.

Wyniki produkcyjne zależne są w decydującej mierze od człowieka, od jego umiejętności gospodarowania, od stosowania przez niego nowoczesnych metod. Nasi rolnicy pracują coraz nowocześniej, w oparciu o zwiększaną z roku na rok pomoc: polityczną i organizacyjną — partii oraz materialną — państwa. Na tym opieram twierdzenie, że prymat wielkopolskiego rolnictwa zostanie — przynajmniej przez czas dłuższy — utrzymany.

Eugeniusz Coffa

PORÓWNIANIA

Rozmawiając z mieszkańcami naszego szacownego grodu Przemysława, słyszę przeróżne o nim opinie. Najczęściej są to słowa krytyki. Temu nie podoba się budownictwo, ów narzeka na handel, innemu coś tam wadzi w gastronomii, czwarty wreszcie zdecydowanie psioczy na przemysł.

Mam także kilka razy do roku okazję do podobnych rozmów z ludźmi przybywającymi do Poznania z różnych stron kraju. Ci, dla odmiany, patrzą na nasze miasto raczej przez różowe szkło. Oto słyszę z ich ust, że mamy doskonałą gastronomię, że w sklepach ekspedientki takie uprzejme i towarów tak dużo, że...

Wydaje mi się, że prawda leży gdzieś pośrodku, choć w wielu przypadkach my sami nie możemy dojrzeć na co dzień przemian, jakie zachodzą we wszystkich dziedzinach naszego miejskiego organizmu. Zgodźmy się także, że równie ci „stamtąd” mogą dostrzegać tylko pewne zjawiska i fakty.

Jak zatem wyglądamy właściwie? Co warto wiedzieć o naszym mieście?

Gdyby to pytanie zadać ekonomiście, niewątpliwie zacząłby odpowiedzieć od spraw przemysłu. Usłyszałoby się więc z jego ust, że w minionym roku 1962 daliśmy krajowi produkcję wartości prawie 14 miliardów złotych. Jest to 2,4 procent wartości produkcji przemysłowej wszystkich fabryk kraju. Dużo, czy mało? Chyba — zważywszy nawet w ciągu lat pewną podwyżkę w cenach zbytu szeregu artykułów — wartość to olbrzymia. Zaledwie siedem lat temu nasz poznański przemysł wytwarzał niewiele więcej niż za 6 miliardów złotych.

Rozbudowa naszych fabryk, to jedna strona medalu w postaci rosnącej wartości produkcji, sławy (eksport!), wytwarzania stale nowych artykułów. Jednak jest i druga, równie pozytywna strona. Dzięki swej rozbudowie, rozrostowi, a przede wszystkim rosnącemu zyskowi, fabryki — te małe i te olbrzymie — mogą wydatnie przyczyniać się do rozwoju samego miasta. Odrzucając one do jego kasy spore, większe z każdym rokiem, sumy na poprawę stanu urządzeń komunalnych. W tym na przykład roku miasto przeznaczą na własne inwestycje prawie 339 milionów złotych, a z fabryk wpłynę do tej sumy niebagatelną kwota 23,5 mln. zł. W każdym razie — powinna wpłynąć, by ułatwić realizację szeregu zamierzeń inwestycyjnych, przewidzianych dla poprawy bytu wszystkich mieszkańców Poznania. Rzecz jasna, że w zakresie inwestycji czysto miejskich, pokrywanych z własnych dochodów, nie dorównujemy Warszawie, która wydaje czterokrotnie więcej. Ba, zasobniejsze

od nas są także Łódź i Kraków. Na pewno jednak przeznaczamy na nowe budowie i urządzenia więcej pieniędzy niż np. Wrocław, który przecież uważany jest powszechnie za ośrodek bardziej od Poznania się rozwijający. A skoro przy okazji mowa o partycypacji przemysłu, to nasze fabryki wykazują nieco lepszą ofiarność od „krewniaków” w innych miastach.

Niestety. — Wywody ekonomisty, nie zaspokoją niecierpliwości obywatela, który w każdy dzień powszedni styka się z naszym handlem. Rzuci on twierdzenie, że nasze sklepy bynajmniej nie potwierdzają — swym zaopatrzeniem — rosnących zdolności produkcyjnych przemysłu. Powiedzmy sobie otwarcie, iż nie chodzi o to, by w sklepie np. „Argedu” można kupić silnik okrętowy „made in HCP”, czy obrabiarkę ze znakiem „Wiepofamy”. Mamy jednak prawo wymagać lepszego zaopatrzenia placówek handlowych szeregiem artykułów codziennego użytku, właśnie przemysłowych. Nic nam z tego, że poznańskie sklepy szczytą się zwiększonymi obrotami (w przeliczeniu na jednego pracownika handlu), że wykazujemy największe w kraju obroty na każdy metr kwadratowy sklepowej powierzchni, że przybywa nam „SAM-ów” i innych preselekcji, skoro z tą „masą” nie wygląda tak różowo. Bo oto właśnie od „obcych” słyszymy często, co można nabyć w sklepach u nich,

Sprawy poznańskie

a w Poznaniu nie raz trzeba nam „zetrzeć” stopy w poszukiwaniu odpowiedniego buta dla dziecka, odpowiedniej koszuli męskiej, garnka czy innego potrzebnego gwałtownie artykułu.

Jesteśmy miastem Targów, które trzy razy w ciągu roku gości u siebie sumie setki tysięcy przyjezdnych. Zaglądają ci przyjezdni do naszych sklepów. Patrzą i... krytykują. Nawet rozumiejąc pewne trudności z uzyskaniem lepszego zaopatrzenia handlu w pewne artykuły można się zżymać. Bo czy nie można by się postarać między innymi o zwiększenie liczby sklepów fabrycznych, z towarami dostarczonymi bezpośrednio przez producenta? Chyba można. Byle tylko nie tkwiły u nikogo z decydujących w tej mierze czynników takie opory, jak w przypadku słynnej już, a aktualnej przed paru laty, historii z placówką Poznańskich Zakładów Armatur. Wiadomo, że przed jej się ta firma doczekała lokalu sklepowego we Wrocławiu niż u nas...

Mieszkańcy narzekają na handel, władze miejskie dla odmiany — mimo wielu pozytywnych i cennych zjawisk — na kulturę. Ot po prostu dlatego, że muszą do niej dokładać jeszcze zbyt wiele „grosza”. Zbyt wiele, bo ładnych kilkanaście milionów, które z pewnością przydałyby się na załatwienie innej, bardzo drażliwej dziury. O ile jednak narzekamy — i słusznie (choć trudno tu znaleźć winnego) na pustki w teatrach a niekiedy w kinach, to na pewno nie możemy na takie samo zjawisko narzekać w naszych szkołach, zwłaszcza podstawowych.

Mało kto dostrzega jednak milowe kroki, jakie czynimy dla rozładowania tej przykrych sytuacji, niełatwej ani dla nauczycieli, ani dla uczniów. A przecież nasza dziatwa nie biega już do szkół wieczorami (w szkołach podstawowych zlikwidowano praktycznie naukę na trzy zmiany), uczy się ona w coraz to większej ilości szkół nowych, jasnych, przestronnych. Jak tutaj wyglądamy w porównaniu z innymi?

W szkolnictwie najniższego stopnia mieliśmy w r. 1961 zagęszczenie wynoszące na klasę 67,5 ucznia. W tym roku wybudujemy dalszych 14 obiektów szkolnych i dzięki tym inwestycjom zagęszczenie spadnie do 60,3, przy czym będziemy mieli w szkolnictwie podstawowym równe 1000 izb lekcyjnych. I tu trzeba stwierdzić, że likwidacja szkolnej ciasnoty postępuje u nas szybciej niż w innych miastach. Bo oto np. Warszawa notowała przed dwoma laty zagęszczenie 63,3, a Kraków — równe 63 uczniów na klasę. Pod koniec tego roku odnośne liczby w obu miastach mają wynosić — w stolicy 61,9, a w grodzie podwawelskim — 61,5.

Niełatwą też sytuację mieliśmy (i jeszcze mamy) w przedszkolach. Oto przed dwoma laty uczęszczało u nas do nich zaledwie 19,5 procent dzieci, które powinny się tam znajdować, a plan 5-letni zakładał pod koniec 1965 roku — 25 procent. Dzięki budowie dalszych obiektów, przede wszystkim zaś dzięki wygospodarowaniu dodatkowych pomieszczeń w starym budownictwie, jeszcze w tym roku osiągniemy stan 26 procent dzieci w przedszkolach. Wszystkie wskazują więc na to, że w zakresie walki o miejsca dla najmłodszych prześcignemy wyprzedzające nas do tej pory Wrocław i Kraków.

Inna dziedzina zmartwień nas wszystkich to służba zdrowia. O tym mogą coś powiedzieć zwłaszcza ci wszyscy, którzy muszą czekać na wolne miejsca w szpitalach. Mamy tutaj do zgryzienia prawdziwie trudny orzech. Mimo bowiem, że i w tym roku służba zdrowia otrzymała z budżetu miasta prawie ćwierć miliarda złotych, nadal nie doczeka się ona budowy nowego, tak dawno przecież planowanego szpitala. Znowu pozostaniemy więc daleko za innymi ośrodkami miejskimi kraju, jeśli chodzi o liczbę łóżek szpitalnych na każde 10.000 mieszkańców. Bo oto mamy ich zaledwie 78, podczas gdy w stolicy liczy się ich 93,3, we Wrocławiu 87,7, a w Krakowie nawet z górą 105. Nie ulega wątpliwości, że obok budowy nowych ujęć wody, z której brakiem nie możemy się uporać, obok planowanej trasy mostowej i kilku innych inwestycji, ta szpitalna powinna w najbliższych latach należeć do najważniejszych i najpilniejszych. Poprawa stanu ilości miejsc w poznańskich szpitalach przy stale wzrastającej liczbie mieszkańców, powinna stać się ambicją władz.

Nie przejrzelśmy wszystkich dziedzin naszego miejskiego życia. Niemniej już w tych kilku, niektóre liczby i fakty przemawiają za naszą zaradnością i postępowaniem, które to elementy tak trudno dojrzeć nam samym na co dzień. Na pewno nie krocymy w końcówce większych miast, choć bez wątpienia obserwujemy w Poznaniu sporo braków, choć wiele mamy do odrobienia.

Przebudowa struktury gospodarczej Poznańskiego

Dokończenie ze str. 1

kienniczy — 5,8 proc. i odzieżowy — 4,6 procent.

Nie trzeba dowodzić, że jest to układ jednostronny i nader prymitywny, wymagający daleko idącej przebudowy. Zapoczątkowano ją dopiero na szerszą skalę w minionej pięcioletce, toteż uzyskane w tej dziedzinie wyniki nie mogły być duże.

W ogólnych proporcjach największe postępy osiągnięto w dziedzinie wytwarzania energii elektrycznej, której udział wzrósł przeszło 3-krotnie, oraz w dziedzinie paliw, gdzie nastąpiło podwojenie udziału w globalnej wartości produkcji. Oczywiście, widać tu wpływ rozbudowy górniczo-energetycznego Okręgu Koninśkiego, w którym — jak wiadomo — skoncentrowano w tej pięcioletce ogromną większość nakładów inwestycyjnych.

Przesunięcia w innych dziedzinach przemysłu są relatywnie o wiele skromniejsze, ale ze względu na pożądaną kierunek przebudowy strukturalnej naszego przemysłu bardzo korzystne. Mamy tu na myśli powolne, ale stałe cofanie się udziału przemysłu spożywczego na rzecz przemysłu budowy maszyn i przetwórczo-metalowego.

Jakie kierunki rozwoju zarysowują się przed przemysłem regionu, które spełniłyby postulat przebudowy strukturalnej jego gospodarki w przyszłości?

Na czoło wysuwa się tu niewątpliwie rozwój kopalnictwa węgla brunatnego w rejonie Konina i Turka.

W powiązaniu z rozwojem kopalnictwa burowęglowego rozwinię się tam silnie przemysł energetyczny.

Rozbudowa na wielką skalę kopalnictwa węgla brunatnego i energetyki umożliwia w woj. poznańskim rozwój przemysłów energochłonnych. Źródła energetyczne działają szczególnie przyciągająco na lokalizację hutnictwa aluminiowego.

Obok huty aluminium w Koninie, zakładami, które korzystać będą z energii elektrycznej wytwarzanej z węgla brunatnego, będzie między innymi fabryka tlenku glinu w Koninie oraz wytwórnia proszków ściernych w Kole.

Konsumentem znacznych ilości energii elektrycznej jest również nowoczesny przemysł chemiczny, a szczególnie tak zwana ciężka che-

mia. We wschodniej części województwa istnieją realne podstawy surowcowe do przewidywania budowy, w nawiązaniu do kopalni kłodskiej (i ewentualnie dalszych kopalni na Wale Pomorsko-Kujawskim, na północ i południe od Kłodawy), szeregu dużych zakładów chemicznych (nawozów fosforowych, zakładów sodowych itd.). Sprzyjają temu wspomniane już zasoby energii elektrycznej oraz stosunki wodne, które przez budowę dużego zbiornika wodnego na Warcie zostaną wydatnie poprawione.

Jako dalsze kroki rozwoju przemysłu chemicznego należałoby postulować między innymi rozwój przetwórstwa tworzyw sztucznych, rozbudowę przemysłu farmaceutycznego oraz rozwinięcie przemysłu farb i lakierów.

W przyszłym rozwoju przemysłu Wielkopolski doniosłą rolę powinien odegrać przemysł maszynowy i środków transportu. Posiada on w regionie szczególnie korzystne przesłanki wzrostu. Za takie można w szczególności uznać: istniejące zakłady tych gałęzi nadające się do rozbudowy, silne odlewnictwo, wykwalifikowaną kadrę, rezerwy w zaінwestowaniu infrastrukturalnym oraz wewnętrzny i zewnętrzny rynek zbytu.

Przesłanki rozwoju przemysłu maszynowego i środków transportu są w dużej mierze właściwie także dla przemysłu metalowego i elektrotechnicznego. Równocześnie w woj. poznańskim istnieją możliwości dalszego rozwoju szeregu innych gałęzi przemysłu, jak na przykład: tekstylnego i dziewiarskiego, skórzano-obuwniczego, poligraficznego i spożywczego.

W sumie postulowana struktura przemysłu w nawiązaniu do cech odziedziczonych z przeszłości, stworzy dogodny warunki przebudowy gospodarki regionu z rolno-przemysłowej na przemysłowo-rolną.

Bedzie to struktura zdrowa, pełna i dynamiczna, wykorzystująca własne źródła surowcowe i wszystkie zasoby siły roboczej, oparta na racjonalnych powiązaniach przestrzennych i w pełni odpowiadająca potrzebom województwa oraz interesom całego kraju. Na zbudowanie takiej struktury gospodarczej Wielkopolska czekała daremnie przez dziesiątki lat.

Prof. dr FLORIAN BARCIŃSKI
Dr BOHDAN GRUCHMAN

Wzakołpoanie wprawiają mnie pytania berlińczyków, czy podoba mi się ich miasto. Mam być szczerzy, a więc — być może — urazić ambicję mego rozmówcy? Dlatego najczęściej staram się dyplomatycznie deklarować swe nadzieje na przyszłość. Że Berlin będzie z pewnością ładnym miastem.

Będzie jednak dopiero po likwidacji tego wszystkiego, czym ze szkoda dla urody największego skupiska obywateli NRD, zapisała się na jego urbanistycznym obliczu przeszłość. I to nie tylko wojenna, szczerze szafująca ranami. Przede wszystkim ta zamknięta datą 1939 roku, kiedy to Berlin należał do rządu wyjątkowo szybko rozwijających się w skali światowej metropolii: około 1870 roku liczył milion, a w ostatnich miesiącach międzywojennego dwudziestolecia — 4,4 miliona mieszkańców.

Możni stolicy nad Szprewą mieli ambicje, by uczynić ją pod względem liczby architektonicznych monumentów, rozmachu reprezentacyjnych dzielnic i ożywienia handlowego śródmieścia — konkurentką Paryża. Miasto jednak rozrastało się do rozmiarów prawie cztero i pół milionowego kolosa przede wszystkim dzięki kapitalistycznej industrializacji. Ze wszystkimi jej konsekwencjami.

Gdy więc baedekery, pamiątkowe albumy, widokówki, reklamowały Berlin stołecznych blasków — on też wciągał w swą orbitę przybysza — miliony berlińczyków mieszkających w brzydkich dzielnicach; w dzielnicach nużących monotonią ustawianych w kilometrowe ciągi czynszowych kamienic, symetrią narożnikowych knajp i piwiarni, dłuższymi murów wokół-fabrycznych lub dla odmiany pseudo-sielskością kolonii domków.

Do najbardziej brzydkich należały jednak wschodnie dzielnice Berlina. Jak też na przykład pisała w roku 1932 wielkomiejska „Die Boersenzeitung” (Gazeta Giełdowa), „jedynie do Janowitbruecke sięga Berlin, który znamy i w którym żyjemy. Poza nim zaczyna się miasto, które obywatel określa z przerażeniem jako „piekło”. Zaś postępowy rysownik niemiecki Heinrich Zille uwiecznił w latach dwudziestych realistyczny wizerunek dwóch kilkuletnich mieszkańców owego „piekła” stawiających diagnozę nad ścierwem zdechłego szcúra: „A na co on właściwie zmarł? Nasze mieszkankie jest zbyt wilgotne”.

Warto o tym pamiętać. Ta bowiem część dawnej metropolii Niemiec, do której ogranicza się pozbiciu jedności organizmu miejskiego prowokacjami mocarstw zachodnich terytorium stolicy NRD, to Berlin wschodni. W znacznym mierze skła-

Zbigniew Szumowski

Trudny problem piękności

dejący się właśnie z owych dzielnic poza Janowitbruecke. Co prawda także z dawnego śródmieścia, ale właśnie ono najbardziej ucierpiało w czasie drugiej wojny światowej.

Natomiast Berlin zachodni, to generalnie biorąc dzielnice najzamożniejsze, mieszczańskie. W dodatku mniej zniszczone a ponadto, ze względu na małą liczbę budowli monumentalnych, wymagające mniejszych nakładów pracy dla zainicjacji śladów wojny. Tym łatwiej więc można było przez szereg lat czynić z tej kapitali-

ności. Resztę ruin szarannie rozbierano, rezerwując oczyszczane tereny dla całkowicie nowych budowli reprezentacyjnego centrum, mającego powstać w toku realizacji długofalowych planów, nakreślonych aż po rok 1980.

Nominalnie pierwszym fragmentem nowego śródmieścia Berlina stała się wielka arteria wschodnia przemianowana niedawno na Karl-Marx-Allee. Lecz ta jej część, która powstała w współczesności z warszawskim MDM, nie ma szans, by utrzymać w przyszłości swoją dotychczasową rolę w życiu miasta. Brak jej po prostu uroku wielkomiejskiego city, i to nie tylko z winy architektów. Także urbanistów,

którzy przecięli jej imponującą skądinąd szerokość monotonnym tasiemcem szrzyżonej łąki. Niestety, dawne założenia wycisnęły jeszcze swe piętno i na tej ponadkilometrowej części Karl-Marx-Allee, nad którą trwają właśnie prace wykończeniowe. Tym większa szkoda, jako że wystawione tu olbrzymie bloki mieszkalne, zostały już wybudowane z uwzględnieniem gustów i możliwości drugiej połowy XX wieku. Tak więc chyba dopiero w toku dalszego toku rozwoju ofensywy budowlanej zostaną zrealizowane plany — wolne już od balastu minionego okresu — popularnym wykładem tych planów, są chwilowo gipsowe makietki. Berlińczycy doczekają się więc centrum godnego ich marzeń.

Czy jednak tylko marzeń?

W berlińskim zagłębiu budowlanym przybysza z Polski ogarnia podziw i życzliwa zazdrość wobec codziennej sprawności organizacyjnej sumienności oraz terminowości wykonywanych prac. Zanim bowiem mrozy unieważnił harmonogramy robót budowlanych, duży blok wielkopłytowy (50 mieszkań, każde po 58 metrów kwadratowych) był oddawany do użytku dzięki zgraniu prac moniażowych z wykończeniowymi w ciągu zaledwie 40 dni. Dziś też, kiedy „przebieg” berlińczyk posiada wygodne mieszkanie, realne są już możliwości szybszej aniżeli planowano początkowo odbudowy centrum Berlina.

Dlatego mój „unik” w kierunku przyszłości bywa szczerzy. Berlin Demokratyczny będzie w przyszłości ładnym miastem.

BERLIŃSKIE REFLEKSJE

stycznej wyspy „okno wystawowe dobrobytu Zachodu”; mamieć przeciętnego mieszkańca tradycyjnie biedniejszej i bardziej zniszczonej części Berlina ponoc większymi efektami w dziedzinie przewycięzania następstw wojny. Z lubością też zestawiała propaganda antykomunistyczna blichtrzonów zachodnioberińskiej Kurfuerstendamm z wyszczerbioną panoramą położonej na wschód od Bramy Brandenburskiej Alei Unter den Linden.

Choć zdarzało się i w NRD tacy, którzy reprezentowali pogląd, że ze względów politycznych dobrze byłoby przystąpić jak najszybciej do rekonstruowania reprezentacyjnej świetności Berlina wschodniego, nie od tego rozpoczęło odbudowę stolicy pierwszego w dziejach Niemiec państwa mas ludowych. Po pierwsze — zwyciężył pogląd, że przede wszystkim trzeba stworzyć znośne warunki mieszkaniowe mieszkańcom Berlina. Po drugie uznano, iż berlińskie budowlane reprezentacyjne, ani ze względu na ich architektoniczną wartość, ani ich związki z dziejami narodu, nie są (ni) gremio godne rekonstrukcji za cenę przedłużania egzystencji twórców nowych Niemiec w ruinach.

Tak więc w latach, kiedy na peryferyjnych dzielnicach demokratycznego Berlina rozwijała się już burzliwie ofensywa budowlana, w centrum odbudowywano tylko rzeczywiste zabłki (zwłaszcza jeśli były niezbędne dla normalnego życia kulturalnego miasta), orestaurowywano mniej zniszczone gmachy publicznej użytecz-

Janusz Biniek

Dwa razy o wojnie



W najbliższych dniach na nasze ekrany wejdą dwa ciekawe filmy wojenne, oba odznaczone nagrodami na międzynarodowych festiwalach: radziecki „Dziecko wojny” (Grand Prix w Wenecji w ub. roku) oraz włoski „Wszyscy do domu” (nagroda w Moskwie).

Przejmujące oskarżenie

Pierwszy z nich jest dramatem psychologicznym, obrazującym przeżycia 12-letniego chłopca, któremu wojna zabrała wszystkich najbliższych i który — pragnąc się pomścić — działa jako zwiadowca na froncie. A więc jeszcze jeden film o poświęceniu, bohaterstwie, patriotyzmie?



Otóż twórca „Dziecka wojny”, młody reżyser A. Tarkowski, idzie dalej, ukazując swego bohatera głębiej i pełniej.

Film jest przede wszystkim wnikliwym studium psychologicznym chłopca przedwcześnie dojrzałego i pełnego nienawiści, ale jednocześnie żyjącego nadal w swoim dziecięcym świecie. Te dwie warstwy fabularne przeplatają się i uzupełniają wzajemnie na zasadzie kontrastu: ostra, brutalna nieraz ekspresyjność w obrazowaniu wojennej rzeczywistości (np. epizod z oszalałym stercem) — i poetyckość, impresyjność w ukazywaniu wspomnień i marzeń chłopca (sceny zabawy nad morzem). Dlatego też trudno szukać w tym filmie jakiegś klasycznej jednolitości, spokoju i umiaru; forma jego przypomina raczej wiersz, pełen żarliwości i protestu, a więc jest formą jak najbardziej subiektywną, poetycką. Temu kierunkowi podporządkowana została też praca operatora, legitymująca się przepięknymi zdjęciami.

„Dziecko wojny” było dużym zaskoczeniem na festiwalu w Wenecji, gdzie podkreślano zgodnie młodzieńczą świeżość ujęcia dość już ogrzanego — zdawałoby się — motywu, jakim jest oskarżenie wojny, dokonane poprzez doznania dziecięcego bohatera. Zaskoczeniem był również fakt, że tak wybitny film nakręcił reżyser młody, szerzej dotychczas nie znany.

Nie ulega wątpliwości, że czołówka młodych radzieckich twórców filmowych została wzbogacona o jeszcze jedno nazwisko.

Szwejk tragiczny

Filmem gatunkowo zupełnie odmiennym jest „Wszyscy do domu”. Akcja rozgrywa się we Włoszech, w przełomowych dniach września 1943 roku, kiedy Badoglio ogłosił zawieszenie broni i kiedy tysiące żołnierzy włoskich opuszczają szeregi faszystowskiej armii, sądząc, że wojna dla nich się już skończyła. Film opowiada o losach grupki żołnierzy, usiłujących zmylić Niemców i dotrzeć do swych domów i rodzin. „Wszyscy do domu” jest tragicomedią; oprócz wątku, przypominającego przygodę dobrego wojaka Szwejka, pokazuje okrucieństwo hitlerowskich oddziałów, oparte zresztą na autentycznych wydarzeniach.

Film reżyserował L. Comencini, należący do starszego pokolenia włoskich twórców filmowych (pamiętam go przede wszystkim jako autora komedii „Chleb, miłość i fantazja”). Reżyseria odznacza się dbałością o wierne oddanie tła trudnej, skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazł się naród włoski.

Oba filmy — godne polecenia.

Wśród licznie ukazujących się obecnie publikacji z okazji XX-lecia Polskiej Partii Robotniczej nie łatwo znaleźć te, które zajmują się problematyką kulturalną. Dominują zagadnienia polityki i walki zbrojnej, gospodarki i ideologii, a także sprawy społeczne. Tym bardziej więc warto przedstawić czytelnikowi pracę Stefana Żółkiewskiego*).

Żółkiewski zajmuje się jedynie latami 1945—1948, ale nie unika dygresji także w stosunku do lat późniejszych. Jednakże zajęcie się właśnie tymi latami jest chyba szczególnie cenne, były to bowiem lata znamienne i dla wielu późniejszych przeobrażeń naszego kraju decydujące.

Już w tych pierwszych latach powojennych zarysowuje się zgoła inne niż w kapitalizmie podejście do spraw kultury. Zysk będący motorem kapitalistycznej działalności traci w warunkach socjalistycznych na znaczeniu. Do roli czołowego kryterium wyrastają wartości ideologiczne i artystyczne bliskie klasie robotniczej, zgodne z programem partii. Konieczna staje się eliminacja prywatnych przedsiębiorców w dziedzinie kultury, dla których zrzegnowanie z zysku jest rzeczą niemożliwą. Wzrost ich udziału np. w ogólnej produkcji wydawniczej szybko spada, od 55 proc. w 1945 r. do 33 proc. w r. 1948 i 8 proc. w r. 1950.

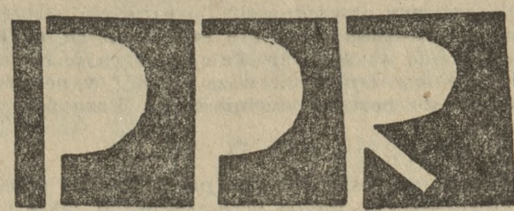
Co zadecydowało o awansie

Konieczne staje się jednak jeszcze bardziej przygotowanie takiej bazy materialnej i takich warunków odbioru tych wartości kulturalnych, by docierały one masowo do całego społeczeństwa.

Trzeba było odrabiać zarówno zacofanie kulturalne odziedziczone po dwudziestolecu rządów sanacyjnych, jak i regres kulturalny społeczeństwa spowodowany wojną;

* S. Żółkiewski, O polityce kulturalnej PPR w latach 1945—1948, Kultura i Społeczeństwo, t. VI, Nr II, s. 3—32.

Mieczysław Skąpski



wobec Kultury

trzeba było rozbudowywać, a często tworzyć od podstaw szkolnictwo, bowiem bez szerokiej oświaty nie może być mowy o masowym przyswajaniu kulturalnych treści; trzeba było rozbudowywać środki masowej informacji, w szczególności radio i prasę i pobudzać potrzebę korzystania z nich. Wysiłek PPR szedł w tych latach także w kierunku zdobywania dla ideologii głoszonej przez partię twórców i organizatorów kultury, by tworzyli oni i upowszechniali pożądane wartości kulturalne. W parze z tym szedł także wysiłek partii zmierzający do inspirowania wyboru kulturalnego mas, by świadomie wybierały one i przyswajały sobie to, co postępowe.

Wszystko to razem stanowiło ogromną pracę, której rezultaty można w pełni ocenić dopiero dziś. Wtedy, w latach 1945—1948 realizacja polityki kulturalnej PPR stworzyła jedynie podstawy przyszłego działania. Ale stworzenie tych podstaw było szczególnie trudne, bo przecież dokonywało się w warunkach ostrej walki klasowej, toczonych nie tylko na słowa. W omawianym okresie reakcja, usiłująca wywołać wojnę domową, dokonała blisko 30 tys. napadów mordując około 16 tys. osób, z czego połowę w roku 1945. W środowiskach inteligentnych przeważały nastroje niechętnie zmianom socjalistycznym, nie omijając bynajmniej tak ważnej dla realizacji polityki PPR grupy inteligentnej jaką jest nauczycielstwo.

Inteligencja — sojusznikiem

Stąd też już na I Zjeździe PPR w 1945 r. stanęła mocno sprawa przedstawienia całej partii na pozytywny stosunek do inteligencji, na zdobywanie tej inteligencji

dla sprawy socjalizmu. Ogromne znaczenie miała — zarzucona, niestety, w następnych latach — zasada, iż partia docenia jako sojusznika także inteligencję niemarksiowską, natomiast radykalną, laicką i antyfaszystowską. W ogóle zaś PPR stała na stanowisku, że inteligencja pojmowana jako rzeczywisty sojusznik klasy robotniczej oraz mas ludowych ma wyznaczone niezmiennie doniosłe funkcje w dziele przebudowy społecznej. Chodziło o ukształtowanie tego sojusznika, zarówno przez przyciąganie starej inteligencji, jak i tworzenie nowych kadr młodej inteligencji, wywodzącej się z klasy robotniczej i chłopstwa.

Pamiętamy z tamtych lat tak popularne kursy przygotowawcze do szkół wyższych. Skorzystało z nich wielu robotników i chłopów, dopomogli im one w szybkim awansie społecznym. Szybko postępowała odbudowa szkolnictwa podstawowego, a jeszcze szybciej szkolnictwa zawodowego. Kadry były bowiem niezbędne do realizacji planu 3-letniego, a potem 6-letniego. Liczne kwalifikowane kadry były też niezbędne do zmniejszania różnic między miastem a wsią, do czego konsekwentnie zmierzała PPR od roku 1945. Można było tego dokonywać tylko przez masowe wyciąganie chłopów do szkół oraz przez proces odwrotny — kierowanie wychowanków szkół: nauczycieli, lekarzy, inżynierów, techników, na wieś.

Nie zaniedbywała oczywiście partia kształcenia własnej, partyjnej kadry, co znalazło wyraz już w 1944 roku w utworzeniu w Lublinie Centralnej Szkoły Partyjnej, przeniesionej następnie do Łodzi. Później,

w 1950 r., utworzono Instytut Nauk Społecznych, jako partyjną, marksiowską szkołę wyższą, która w następnych latach wydała setki absolwentów.

Podstawy dzisiejszych osiągnięć

Charakteryzując ogólnie okres lat 1945—1948 w dziedzinie kształtowania kultury masowej Żółkiewski pisze, że „był (on) okresem przygotowawczym, okresem raczej formułowania teoretycznych, ideowych wytycznych przyszłej działalności, okresem mobilizowania kadr, urabiania świadomości twórców i organizatorów, okresem mozolnego budowania niezbędnej bazy materialnej przyszłej kultury masowej. Był to okres dużego zróżnicowania dążeń i propozycji kulturalnych, dużego wysiłku teoretycznego Partii dążącej do ideowego zwycięstwa w sferze polityki kulturalnej.”

Polityka ta była, dodajmy, programowo deficytowa; gazety, książki czy bilety do kin i teatrów sprzedawane były znacznie poniżej kosztów własnych. Tylko tą drogą można było dotrzeć do masowego czytelnika, widza, słuchacza.

PPR jasno formułowała swoją kierowniczą rolę w rozwoju życia kulturalnego, brała na siebie wielką odpowiedzialność, w przeświadczeniu słuszności obranej drogi. Nie odpychała jednak nikogo o innych przekonaniach. Otwierała szeroko pole dyskusjom. Asymilowała wszystko, co postępowe, co walczyło z zastojem, tradycjonalizmem, naciskiem przesądów fideistycznych, co podnosiło aktywność społeczną najszerzych warstw narodu. Dziś, z perspektywy lat, szczególnie wyraźnie widać jak słuszną i owocną była ta droga.

Bogdan Ciszewski

Zaczeło się od „Miniaturki”...

Poznański

Chór

Chłopięcy



Zdjęcie — E. Kitzmann

Długą drogę przebył w okresie 18 lat istnienia Poznański Chór Chłopców. Początkowo 20-osobowy niewielki zespół, trafił do instytucji muzycznej, znana szeroko z występów na estradach krajowych i zagranicznych. Każde początki bywały trudne, ale Jerzy Kurczewski nie uległ się trudności, gdy z garstką zapalonych miłośników śpiewu zakładał w roku 1945 „Miniaturkę”. Zespół zdobył szyb-

nych Chłopców Chóru Międzyszkolnego — taką bowiem nazwę przybrała po budyńskim triumfie „Miniaturka”. Ale repertuar zespołu pozostawał do tego czasu niezmienny — była to wciąż jeszcze tylko muzyka popularna.

Przełom w działalności Chóru nastąpił w roku 1957. Jerzy Kurczewski przystąpił do organizowania szkoły chóralnej (na wzór szkół istniejących przy sławnych zagranicznych chórach chłopięcych — np. przy znanym już w Polsce chórze „Wiener Sängerknaben”). Ustaliła się ostatecznie nazwa: Poznański Chór Chłopców, który stał się oddzielną samodzielną instytucją artystyczną. W repertuarze Chóru znalazła się muzyka chóralna różnych epok — wykonywana kiedyś wyłącznie muzyka popularna została od tej chwili tylko jednym rozdziałem w obszernym programie Chóru.

W roku 1959 zespół Kurczewskiego występował w Bułgarii i NRD — w następnych latach (1960, 1961 i 1962) ponownie w NRD. Coraz częstsze są też koncerty na estradach krajowych (m. in. w Szczecinie, Wrocławiu, Jeleniej Górze, Łodzi, Toruniu i Warszawie).

Poznański Chór Chłopców pracuje w warunkach, które najlepiej określi jedno słowo: stabilizacja. Po wielu latach tułaczki obszerne, wygodne pomieszczenia w budynku szkolnym przy placu Curie-Skłodowskiej gwarantują możliwość nieskrępowanej pracy. Pomysłowe rozwiązania wielu problemów organizacyjno-administracyjnych pozwala na wyznaczanie coraz to nowych i trudniejszych zadań artystycznych. Podstawą działalności Chóru jest szkoła chóralna, do której uczęszcza obecnie 110 uczniów. Do szkoły tej przyjmowani są chłopcy po ukończeniu drugiej klasy szkoły podstawowej, wykazujący — oczywiście — pewne uzdolnienia muzyczne. Szkoła chóralna, poza realizacją pełnego programu nauczania w zakresie klas III—VII, wprowadza przedmioty muzyczne: solfeż (w wymiarze kilku godzin tygodniowo), zasady muzyki, emisję głosu. Ponadto najlepsi uczniowie śpiewają w Chórze. Chór Kurczewskiego jest zespołem 80-osobowym (utwory o charakterze kameralnym wykonywane są jednak w mniejszej obsadzie). — obok chłopców w zespole śpiewają mężczyźni (tenory i basy), dawni śpiewacy „Miniaturki”.

Repertuar Poznańskiego Chóru Chłopców jest bardzo obszerny. Miejsce szczególne zajmuje muzyka współczesna (utwory Bartoka, Hindemitha, Szeli-

gowskiego). W roku 1961 Chór wspólnie z Wydziałem Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Poznania ogłosił Ogólnopolski Konkurs Kompozytorski na pieśń chóralną a cappella. Wyróżniona pierwszą nagrodą pieśń: „Naśladowanie wozu” krakowskiego kompozytora Karola Mrowca uznana została za wybitne osiągnięcie twórcze. Chór spełnia więc rolę inspiratora współczesnej twórczości (warto tu wspomnieć o dedykowanych zespołowi pieśniach Tadeusza Szelińskiego i Piotra Perkowski). Często wykonywane są utwory kompozytorów poznańskich (Kisera, Koszewskiego, Kurczewskiego, Młodziejewskiego).

Wielką rewelacją były trzy motety Jana Sebastiana Bacha — niezmiennie rzadko wykonywane. Inny nurt repertuarowy to polska muzyka XIX wieku (pieśni Chopina w transkrypcji chóralnej Andrzeja Koszewskiego, Marii Szymanowskiej, Komorowskiego, Lessla). Cenne uzupełnienie repertuaru stanowi muzyka dawna (np. „Już się zmierzcha” Wacława z Szamotuł, „Echo” Orlanda di Lasso, pieśni francuskich kompozytorów XII i XIII wieku). Wykonywane są też pieśni popularne.

Przy całej wielostronności zainteresowań miejsce eksponowane w praktyce koncertowej Chóru Kurczewskiego zajmuje muzyka współczesna. Inny poznański chór chłopięcy, Chór Stuligorskiego, słynie ze znakomitych wykonań dzieł renesansowej polifonii. Działalność tych chórów uzupełnia się więc wzajemnie.

Koncerty Poznańskiego Chóru Chłopców, w których często uczestniczyła wybitna pianistka Aleksandra Utrecht, zyskały sobie wysokie oceny krytyków. „Chór okazał się wszechstronnym instrumentem o świetnie ustawionych głosach, pięknej, wyrównanej barwie i niezawodnej precyzji wykonania” — pisał Bohdan Pocię po warszawskim koncercie zespołu. Ludwik Erhardt zwrócił uwagę na „czyste, dyscyplinowane brzmienie, duże umiejętności techniczne i pewną intonację”, a Teresa Grabowska stwierdziła, że „Poznański Chór Chłopców pod dyktando Jerzego Kurczewskiego dobrze zastępuje się polskiej kulturze muzycznej, uprawiając współczesną muzykę wokalną”. Warszawscy krytycy z goryczą podkreślali, że Warszawa nie ma chóru chłopięcego o estradowym poziomie — Poznań natomiast potrafił zdobyć się na dwa chóry wysokiej klasy. Dobrze to świadczy o kulturze muzycznej i aspiracjach miasta.

W noworocznym „Głosie Tygodnia” opublikowaliśmy artykuł red. Mariana Flejsierowicza pt. „Budujmy taniej!” Autor — przypominamy — wskazywał — na źródła potaniaenia budownictwa mieszkaniowego, lecz nie kosztem obniżenia jakościowego standardu mieszkań. W 1964 roku bowiem 30 proc. wszystkich nowych domów mieszkalnych trzeba będzie wybudować o 20% niższym kosztem, a w roku następnym — ma stanąć już 40 proc. oszczędnościowych domów. Gdzie tkwią rezerwy oszczędności? Co utrudnia oszczędnościowe budownictwo? W jaki sposób budować więcej nowych mieszkań, przy nie zwiększonych nakładach finansowych? Oto pytania, na które starał się autor odpowiedzieć w swym artykule, zachęcając równocześnie Czytelników do zabrania głosu w tej sprawie. Dzisiaj zamieszczamy pierwszą część wypowiedzi mgr. inż. Jerzego Buszkiewicza, który jest projektantem pracowni postępu technicznego Poznańskiego Biura Projektów w Budownictwa Przemysłowego.

Jerzy Buszkiewicz

Zacząć od postępu technicznego

Panie Redaktorze! Pozwalam sobie na wstępnie zadać pytanie, czy oglądał Pan kiedykolwiek działający mechanizm zegarka Schaffhausen, tego który uchodzi do dziś za wzór najlepiej działających czasomierzy? Jest niesłychanie skomplikowany, a jednak działa i to jak! A teraz drugie pytanie. Co będzie z zegarkiem, gdy jedno z jego kółek będzie szczerbate, lub gdy pozostałe będą niedopasowane? Proszę zaraz nie odpowiadać. Mam jeszcze jedno pytanie. Czy nie uważa Pan, że nasze obecne budownictwo mieszkaniowe jest takim niedopasowanym zegarkiem, że mimo posiadania Schaffhausena, odmierzamy czas klepsydry? Nie pretenduję do roli zegarmistrza, lecz chciałbym jedynie zasygnalizować niektóre problemy dotyczące projektowania budynków mieszkalnych i zastosowania w nich postępu technicznego.

*

„Opracowanie podstaw nowoczesnego budownictwa mieszkaniowego jest jednym z zagadnień w zakresie architektury umieszczonym w ogólnopolskim Planie Badań Naukowych w problemach szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej”.¹⁾ Jeżeli jeszcze dodamy, że przy przewidywanej realizacji w planie pięcioletnim w latach 1961 do 1965 — 1.800.000 izb mieszkalnych w miastach, o łącznej kubaturze około 160 milionów m³, nakłady inwestycyjne wyniosą 96 miliardów złotych, mamy pełen obraz zadań jakie na nas czekają. Słowem znamy wartość zegarka.

Popróbujmy wobec tego uruchomić nasz zegarek, a przy okazji szukać sposobów potaniaenia jego produkcji. Założmy, że najmniejszym kółkiem w naszym mechanizmie jest prozaiczny metr sześcienny budynku, jeden z 160 milionów. Dodajmy jeszcze, że jego koszt jednostkowy jest określany na około 600 złotych, to znaczy, że jeżeli nam się uda zmniejszyć go tylko o jedną złotówkę, możemy wybudować dodatkowo 300 izb. To już jest coś. Zatem zaczynamy szukać złotych, niekoniecznie tych kompleksowych, na razie wystarczą pojedyncze.

*

Koszty budownictwa wciąż rosną, jest to już stała tendencja na całym świecie, trwająca od wielu lat. W dodatku zwracam uwagę na fakt, że produkcja budowlana bieżącej pięciolatki nie zmniejszy głodu mieszkaniowego w Polsce, lecz pójdzie na pokrycie potrzeb płynących z przyrostu naturalnego. Przy przewidywaniach demografów, że przed rokiem 2000 ludność Polski ulegnie podwojeniu, stoimy wobec perspektywy wybudowania w ciągu najbliższych 40 lat mniej więcej jeszcze raz tyle, ile zostało wybudowane do tej pory.

Jasne jest, że bez zmiany produkcji nie będziemy w stanie zaspokoić potrzeb w tej dziedzinie. Prefabrykacja uznana za jeden z głównych czynników produkcji budowlanej, przy stosowanych obecnych metodach

prefabrykacji jest jeszcze bardzo prymitywna i daleko jej do nowoczesnych metod przemysłowych jakie panują w innych dziedzinach produkcji, jak np. w przemyśle samochodowym.

Uprzemysłowienie w nowoczesnym rozumieniu, to cykl produkcyjny prowadzący do pełnej automatyzacji procesów. Obecne pojęcie prefabrykacji wcale nie jest równoznaczne z produkcją przemysłową a metody budownictwa uprzemysłowionego są tylko nieco pod względem technicznym ulepszonej metodami tradycyjnego wznoszenia budynku.

Czy w związku z tym nie nasuwa się pytanie, w jakim stopniu architekt powinien być naukowcem, technologiem, inżynierem, technikiem — artystą, i licho wie czym jeszcze? Czy jest w stanie przy obecnym systemie pracy nadać narastającym wymaganiom? W pięciu dniach nie można wymyślić żadnych rewelacji, a tyle czasu ma projektant na zrobienie projektu wstępnego budynku mieszkalnego.²⁾ Proszę odjąć jeszcze od tego czas potrzebny na kilkanaście uzgodnień z różnymi instytucjami, czas na koordynację z pozostałymi projektantami branżowymi, czas na rozmowy z inwestorem, czas na Radę Techniczną, na KOPI, itp. A gdzie czas na myślenie?

Po drodze jeszcze lawina papierków, zarządzeń z mocą działania wstecz, nowych normatywów w znacznej większości przypominających obowiązujące podręczniki techniczne, a nie zawierające zasadniczych ustaleń, mających wpływ na oszczędne i racjonalne projektowanie. Normatyw powinien określać co należy projektować, a nie jak. Skrzyżowanie architekta z urzędnikiem nie wroży nic dobrego na przyszłość.

Rozwój budownictwa powinien iść w kierunku zmniejszenia jego ciężaru, szukania nowej technologii i nowych materiałów. Na tej drodze, a nie w litych wielkich płytach betonowych należałoby oczekiwać rozwiązań. Ciężkie elementy żelbetowe w budownictwie mieszkaniowym muszą stanowić etap przejściowy. Czy Pan wie, że np. konstrukcja ze spienionego plastiku byłaby lżejsza od identycznej wykonanej z plastiku 3-krotnie, z aluminium 9-krotnie, ze stali 21-krotnie, a z żelbetu 105-krotnie?

Ale kto się tym ma zająć? Przemysł Materiałów Budowlanych? Chyba nie, bo od czasu swego powstania nie może nawet zebrać w katalog swojej bieżącej, ubożuchnej asortymentowo produkcji. Przemysł Chemiczny? Też chyba nie. Mamy Wielką Chemię, jesteśmy z niej dumni, wiemy coś niecoś o kaloszach, barwnikach, lekarstwach, nawozach sztucznych itp., ale o materiałach budowlanych — cichutko.

A może by tak wydać informator, kto produkuje, co produkuje, i ile kosztuje? Istnieją przecież Instytuty Naukowe. Każdy z nich zajmuje się nowym problemem, coś odkrywa, coś wynajduje, pisze prace naukowe. I co z tego?

Nam pozostaje beton i cegła 6×12×25.

1. Tomasz Mańkowski — Współzależność niektórych czynników kształtujących wielkopłytowe budownictwo mieszkaniowe i ich wpływ na warsztat architektoniczny. P. K. Z. N. Kraków 1961.
2. Wycena oparta na obowiązującym w Biurach Projektów cenniku KBUA

kubatura budynku 4000 m ³ (5 kond. 2 sekcje)	
kwota cennikowa	13,8 tys. zł
współczynnik zaostrożający 0,9	1,4 tys. zł
pozostaje	12,4 tys. zł
nakład na wykonanie projektu wstępnego	0,26×12,4 tys. zł = 3,224 zł
kwota przypadająca na projektanta dla zapłacenia jego pensji i premii	0,36×3,224 zł = 1,160 zł
koszt jednej godziny projektanta wykwalifikowanego 22,0 — 30,0 zł/godz.	1,160 : 30 = 38,7 godz.
38,7 godziny to jest niepełne 5 dni roboczych.	

zostanie opublikowany, omówimy go w naszym przeglądzie.

Dla myśliwych

Kilka słów warto jednak poświęcić innemu artykulew *Zycia Gospodarczego*, mianowicie, *Darz Bórl Andreja Bobera*. Rzecz dotyczy łowiectwa. Kto w Polsce poluje i jaka jest wielkość łowisk? Jaki jest stan zwierzyny? Czy polowanie jest sportem, a może poluje się dla korzyści materialnej? Jakże efekty ekonomiczne przynosi łowiectwo? Oto sprawy poruszone przez autora. Na ogólną liczbę 40 tysięcy myśliwych w Polsce przypada 19,1 proc. robotników, 17,3 proc. chłopów, 45 proc. pracowników umysłowych i 13,8 procent pracowników administracji lasów państwowych. W 1960 r. 1773 kółka łowieckie dzierżażyły 3848 obwodów, a w minionym roku 1924 kółka dzierżażyły już tylko 3624 obwody. W tym czasie nasze pola i lasy zamieszkiwało 32 tys. jeleni, 9 tys. danieli, 227 tys. saren, 29 tys. dzików, 30 tys. lisów, 1754 tys. zające i 1685 tys. kuropatw. Dlaczego myśliwi polują? Dla korzyści materialnej — na pewno nie. Dla sportu — chyba też nie. Gdzie więc tkwi motor poczynania bractwa po łufie?

„Wydać się — pisze A. Bober — że w przyjemności obcowania z przyrodą, w konieczności kontaktu z lasem i jego mieszkańcami, w osobistych wrażeniach jakie przynosi spotkanie człowieka z dzikim, lisem czy zającem, w tym czymś co krótko określa się „myśliwską żylką”.

Ale myśliwi łączą przyjemność z pożytecznym: organizują hodowle, chronią zwierzęta przed szkodnikami, dokarmiają zwierzynę oraz dostarczają państwu dewiz. Rocznie suma ta wynosi około 1 200 000 dolarów za eksport dzierzyny.

Aby do wiosny

— to tytuł reportażu *Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego* opublikowanego w *Polityce*. Autor w dniach najcięższych mrozów spędził 24 godziny na stacji kolejowej Prokocim — wśród robotników, kolejarzy wyruszających na nową zima-

nę. Oddał atmosferę tej nocy i dni, ukazał walkę z żywiołem i czasem o transport, o węgiel, o ciepło. Nie zabrakło w reportażu dramatycznych momentów:

„60 wagonów na górce B przymarzło do szyn, kółka do osi, osie do plast, smary, wszystko i tylko krew jeszcze gdzienigdzie pulsowała. Szarpnął jeden parowóz — nic. Szarpnęły we dwójkę — nawet nie skrzypnęło. Na trzeci parowóz trzeba już zgody Ministerstwa Komunikacji, ale zawiadowca nie miał pod ręką papieru podaniego. Doczepił trzy z przodu i dwa z tyłu, w takie noce jak ta czas jest droższy od ryżu. Pięć parowozów trudno wziąć pod jedną batutę: trzy szarpnęły, dwa przytrzymały, w składzie zrobiła się luka a po chwili, po szarpnięciu z kolei tamtych, a zahamowaniu tych pach!! i dwa ostatnie wagony, na szczęście puste, zmiażdżone sturlały się z nasympu. To cząstka ceny, jaką kolej płaci za mroz”

Powstanie Styczniowe

Sesna rocznica Powstania Styczniowego nie schodzi ze szpalet tygodników. Nowa Kultura w artykule *Janusza Maciejewskiego* pt. *Sto lat zajmuje się plonem tego zbrojnego zrywu*. „Dotychczas przywykło się traktować rok 1863 jako najboleśniejsze, najtragiczniejsze i najbardziej szalone z naszych powstań. Zły ono trwałe w legendzie — ale w sposób specyficzny (...). Jeżeli odwoływano się do niego, to w tonacji cierpiętniczej. Stąd też rok 1863 stał się ważnym elementem tradycji narodowego masochizmu, kultu klęski”.

Jednak historyczna rzeczywistość nie weryfikuje tej legendy. Mimo milijarnej klęski, przyniosło powstanie korzyści: polityczne i moralne ogólnopolskie ożywienie — proces integracji trzech zaborów.

„Najważniejsze jednak (...) były korzyści społeczno - ekonomiczne (...) w wyniku jednego tylko aktu Rządu Narodowego: uwłaszczenia chłopów. Akt ten przekreślił ekonomiczne plany Wielopolskiego (projektującego oczyszczanie zamiaszt uwłaszczenia). Postawił władze carskie wobec faktu dokonanego, czym zmusił je do wydania w 1864 roku ukazu powtarzającego w zasadzie akt powstańczy”.

Eugeniusz Paukszta

Szlakami walki

Dzisiejszy przegląd poświęcam omówieniu książek, po święconych wspomnieniom partyzanckim i wojennym. Ale zacząć muszę od książki — którą — jestem przekonany — powinna znaleźć się w każdym domu. Książki, która tłumaczy sens i tamtej dawnej walki, jej racje, i sens walki dzisiejszej o to, by nie mogło kiedykolwiek znowu nastąpić rozbudzenie się w ludziach dzikiej, krwiożerczej bestii. W „Czytelniku” wydano pamiętnik Wandy Półtawskiej „I boję się snów”, dzieje jednego z głośnych „królików doświadczalnych” z Ravensbrueck, kobiet, na których niemieccy lekarze przeprowadzali doświadczalne operacje. Książka jest świetnie napisana, jest tragiczna, jest wstrząsająca, jest też zarazem... optymistyczna. Naprawdę trzeba, koniecznie trzeba ją przeczytać.

Wspomnieniom obozowym, tym razem z Majdan-ka, poświęcona jest także opowieść Tadeusza Czałki — „Czerwone punkty”, nakład Wydawnictwa Lubelskiego; autor opisuje m. in. historię sensacyjnej ucieczki podkopem.

A teraz szereg partyzanckich opowieści, dokumentalnych, bogatych w zdjęcia, wypełniających niejedną lukę w obrazie walk polskiego ruchu oporu. „Czytelnik” opublikował dokumentarną pracę Wojciecha Sulewskiego „Lasy w ogniu”, dzieje akcji oporu przeciw znanej tragedii wysiedleń z Zamojszczyzny. Dramatyczna walka ugrupowań partyzanckich różnych formacji, klęski i zwycięstwa, w sumie jednak prowadzące do zaprzestania przez Niemców akcji wysiedleńczej — ukazane są rzeczowo, bez patosu, ale tym bardziej może wstrząsają. Teżoż samego autora ukazała się inna praca (nakład „Książki i Wiedzy”) pt. „Partyzanci na powstańczych szlakach”, dająca wiele do myślenia nad osobliwym tokiem polskich losów. Oto w 100 rocznicę Powstania Styczniowego autor prowadzi czytelnika szlakami tamtych bojów sprzed stu lat, powtórzonych w ostatnią wojnę przez oddziały partyzanckie AL i GL — często dosłownie w tych samych miejscowościach. Dziełom partyzantki na Zamojszczyźnie i pobliskich rejonach poświęca też swoje wspomnienia Wanda Żółkiewska w tomie „Las moim domem” („Nasza Księgarnia”), ze zwróceniem szczególnej uwagi na głośny oddział polsko-radziecki Mikołaja Kunickiego. Dokumentacją tych samych spraw, wspartą wszakże o bardzo szeroki zestaw wspomnień uczestników walk, będzie starannie przez MON wydana książka „Przez uroczyska Polesia i Wołynia”, obraz

wspólnych walk partyzanckich polsko-radzieckich na tych terenach. Odnajdziemy tu oddziały i Sobiesiaka i Kunickiego i historię innych, może mniej znanych jednostek bojowych, których wysiłki często w zasadniczy sposób wpływały na osłabienie potencjału militarnego III Rzeszy. Pracę tę zaliczyć należy do szczególnie wartościowych dokumentacji. Kiedyś zachęcałem do lektury świetnej, z dużą swadą pisarską nakreślonej relacji partyzanckiej „Ziemia pionier”. Obecnie MON wydał dalszy tom wspomnień tych samych autorów, Józefa Sobiesiaka i Ryszarda Jegorowa „Burzany”, dobrze napisaną opowieść o ugrupowaniu Sobiesiaka, operującego przez długi czas w rejonie Kowla, Równego, Sarn i Brześcia. Interesujące ukazane tu zostały również dzieje powstawania i działalności antypolskiej ukraińskiej bandy UPA. Ostania, ściśle partyzancka pozycja z książek teraz wydanych są relacje Kazimierza

z książką na ty

Przybył-Stalskiego „Partyzancki czas” (Wydawnictwo Łódzkie), ukazujące czyn zbrojny GL i AL na terenie Ziemi Łódzkiej. Dokumentacja w postaci fotogramów i tekstów rozkazów poszczególnych dowódców uzupełnia obraz lewicowego ruchu oporu w tym okręgu.

W MON-ie opublikowano też kilka innych pozycji o charakterze naukowo - dokumentarym. Wymienić tu należy na pierwszym miejscu doskonałą pracę Emila Jadziaka „Wyzwolenie Pomorza”, zarys działań I Armii WP w operacji pomorskiej Armii Radzieckiej w okresie od 6 marca po 7 kwietnia 1945 roku, a więc wielkiej ofensywy na Wał Pomorski, zakończony zwycięstwem Kołobrzegu i symbolicznym aktem zaślubin z morzem. Zestaw map, zdjęć, wykresów, wykazy personalne itp. uzupełniają szczegółowy opis wojenny.

Charakter bardziej już wspomnieniowy ma opowieść Siergieja Biriuzowa, marszałka Związku Radzieckiego „W ogniu dział” (MON), uczestnika walk od pierwszych dni wojny radziecko-niemieckiej na Ukrainie. Szczególnie interesujące relacje z walk pod Orlem, z rozgromienia Mansteina i z wyzwolenia Donbasu, jak też oswojodzenia Krymu.

W głośnej Bibliotece Wiedzy Wojskowej, mającej przysięgłych entuzjastów, wyszło studium P. Sokołowa „Wojna a ludzkie rezerwy” (MON), ukazujące ogrom potrzeb sił zbrojnych w zakresie koniecznych dla ich dyspozycji mas ludzkich. Zagadnienie wiąże się bowiem nie tylko z formacjami frontowymi, ale także z problemem siły roboczej i umiejętności jej wykorzystania.

W Głosie Nauczycielskim dr Zbigniew Marciniak w artykule pt. *W rocznicę...* pisze między innymi:

„Marksistowska histografia słusznie stwierdza, że zamazywaniem istoty walki z lat 1863—1864 będzie przedstawienie jej, jako zmagania wyłącznie o niepodległość.

Walki narodu polskiego nie doprowadziły do niepodległości kraju, ale zaświadczyły, że Polska faktycznie istnieje. Okazało się też jak najdobitniej, że uciemiężona Polska nie może liczyć na pomoc, ani ze strony mocarstw zachodnich, ani ze strony Watykanu. Pius IX wręcz odmówił Polakom prawa do rewolucyjnej walki o wyzwolenie. Ujawniło się również, że żadne formy współpracy, że żadna polityka ugodowa wobec caratu nie może podnieść wolności dla narodu polskiego.

Ostra i bezkompromisowa walka zmusiła jednak carat do oddania chłopom ziemi w Królestwie na znacznie korzystniejszych warunkach, niż to miało miejsce w Rosji w 1861 roku”.

Rozmowy towarzyskie

KTT w swym stałym felietonie na łamach Szpilek (Litość i trwoga!) pisze o życiu towarzyskim: „które, jak wiadomo, polega na spotkaniach zupełnie sobie obcych i obojętnych ludzi, w zupełnie przypadkowych sytuacjach, którzy to ludzie skazani są na spędzenie ze sobą kilku godzin w tak zwanej „milej atmosferze”.

KTT podaje coś w rodzaju recepty na wywołanie milej atmosfery towarzyskiej. Oto tematyka, która na pewno chwyci: omówienie aktualnych braków dysrybucji, przegrody poszczególnych członków rodziny (z ostatniego ćwierćwiecza), opowieści jak to dobrze było przed wojną, kiedy to „jesli ktoś nie miał samochodu i wili na Florydzie, albo w Krynie, to tylko przez lekomyślność i fanaberię”. Niewyczerpanym tematem jest też okupacja (im potworniejsze historie tym lepiej), wreszcie oświecalność — telewizja, a ściślej mówiąc albo „Maska” Kaliny Jedrusik, albo dekolci Kaliny Jedrusik.

Na zakończenie hasło tygodnia ze Szpilek: „nie licz na spadek — chyba że temperatury!”

LEKTOR



Tygodnik Demokratyczny publikuje artykuł Tadeusza Walkowskiego pt. *Węgiel*. Autor stwierdza, że na rynku istnieją dwie ceny tego paliwa: państwowa i czarno-rynkowa, a więc — wnioskując — występuje niedobór węgla. Skąd to zjawisko? Przecież Polska jest szóstym w świecie i czwartym w Europie producentem węgla. Przyczyny tego są różne: eksport, ogromny wzrost zapotrzebowania przemysłu oraz większe zużycie węgla opałowego, którego w stosunku do 1955 roku zużyliśmy o ponad 32 procent więcej. Również więcej zużywamy się węgla na cele produkcyjne w rolnictwie, związane z gospodarką hodowlaną. T. Walkowski uważa przy tym, że najbardziej rozrzuć gospodaruje się węglem na opał i na cele produkcyjne w rolnictwie.

Trudno się pogodzić z takim stanowiskiem. Stopa życiowa od 1955 roku wzrosła znacznie, wyraża się to między innymi większym zużyciem węgla opałowego. O ile dawniej opalało się zimną jedną izbą w mieszkaniu, o tyle dzisiaj opala się ich więcej, zwłaszcza że tradycyjne piece kaflowe coraz bardziej wypiera centralne ogrzewanie. Nie można się również dziwić wzrostowi zużycia węgla na gospodarstwo hodowlaną w rolnictwie. Im bardziej racjonalna będzie ta hodowla, tym większe zapotrzebowanie na węgiel lub inne źródła energii cieplnej.

W poprzednim tygodniu omawialiśmy artykuł *Zycia Gospodarczego*, poświęcony brakowi węgla na rynku pt. *Dlaczego Śląsk się zafak?* Zapowiedziany przez redakcję następny artykuł na ten temat nie ukazał się na razie, ale jak tylko